

GILLES ROZIER

Z KRAJU BEZ MIŁOŚCI

To się zaczyna jak przypadkowe spotkanie. Fotografia zrobiona jest w Ogrodzie Saskim w Warszawie, poznają ławkę i drzewa w tle. Jest rok 1922. Jest ich sześciu: Uri-Cwi Grinberg, Perec Markisz, Mejlech Rawicz, Ojzer Warszawski, Mojsze Broderzon i Jisroel-Jojszue Singer. Żaden z nich nie jest z Warszawy. Mejlech i Uri-Cwi przybyli niedawno z Galicji wschodniej, walczyli w armii Austro-Wegier. Jisroel-Jojszue i Perec są z Ukrainy. Perec się tam urodził. Ojciec Jisroela-Jojszui był rabinem w jakimś miasteczku żydowskim w Polsce, ale syn szybko oddalił się od religii. W 1917 wybrał się do Kijowa zobaczyć, co rewolucja może przynieść światu i literaturze. Ale szybko stamtąd wrócił. Mojsze uciekł z Polski w 1914. Wojnę spędził w Moskwie. Gdy zaczyna się moja opowieść, Ojzer jest już w Warszawie. Urodził się w Sochaczewie, kilkadziesiąt kilometrów od stolicy. Mojego ojca nie ma na zdjęciu i nic w tym dziwnego: to on fotografuje. Pochodził z Wilna. Młody człowieku, mam nadzieję, że ma Pan pod ręką mapę, by śledzić peregrynacje moich pisarzy. Widziane z Paryża, wszystkie te miejsca są „na wschodzie”, ale zapewniam Pana, że leżą w dużej odległości od siebie. Są oddzielone granicami, które bezustannie się przesuwają. Miasta, o których Panu opowiem, pozmiały nazwy: Petersburg stał się najpierw Piotrogradem, potem Leningradem, a od kilku lat, jakby nigdy nic, znowu nazywają go Petersburgiem. W Berlinie, Dreźnie, Warszawie odbudowuje się pałace i katedry, tak jakby na Europę nie spadła żadna bomba. Tak jakby ziemia, która przybrała imię tej fenickiej księżniczki porwanej niegdyś przez boga-byka, nie pożarła w ciągu sześciu lat czterdziestu milionów swoich dzieci. Mój ojciec urodził się w mieście Wilna, które w okresie międzywojennym zmieniło nazwę na Wilno, a teraz nazywa się Wilnius. Co do Lwowa, to był on do 1918 roku austriacki, potem polski, dostał się pod panowanie sowieckie, hitlerowskie, znowu sowieckie, by stać się teraz jednym z ważniejszych miast Ukrainy – ale czy na długo? Nie będę Panu ciągle przypominać tych szczegółów, musi Pan być czujny i sam przeskakiwać z jednego kraju do drugiego.

Młodzieńcy pozują. W owym czasie fotografia była kompozycją, jak obraz. Picasso i Braque sklejali kawałki tektury, a fotografowie próbowali nadać ruch temu, co mieli za chwilę utwalić. Nie powierzało się tej sztuki zwykłym śmiertelnikom. Tylko jeden z młodzieńców na zdjęciu, Mejlech, ten pośrodku, patrzy prosto w obiektyw, ale nie od razu zdajemy sobie z tego sprawę. Trochę wyżej, Uri-Cwi patrzy w prawo, nieco z ukosa, tak jakby jego zamysłone spojrzenie zatrzymało się na jakimś punkcie za plecami fotografa – matce z wózkiem, fontannie, kępie drzew. Zaraz obok, na drugim planie, zwrócony do niego twarzą Mojsze pochyla głowę, jakby wpatrywał się z lubością w Mejlecha. Tuż przed nim opadł na ławkę Perec, sprawia wrażenie znużonego. Wzrok zwraca ku górze, nie wiadomo, czy obserwuje niebo, czy podbródek Mojszego. Czy może gwiazdy. Po lewej stronie fotografii, na pierwszym planie, stoi Ojzer, wygląda, jakby podpierał się łokciem o Mejlecha, a za nim, przy oparciu ławki – Jisroel-Jojszue, jak zwykle zasadniczy, o marmurowym spojrzeniu. Jest w tym atmosfera nonszalancji, intymność, jakiej próżno by szukać na dzisiejszych zdjęciach. Niektórzy z nich są leniwie rozluźnieni. Zachowują się nienagannie, ale ich zmysłowość rzuca się w oczy. Czuć w nich życie, energię, pomysły. Całe miasto buzuje, pisma literackie wychodzą jedno po drugim. Każdy wydaje własne i nie żałuje w nim miejsca dla kolegów. Skandal wywołuje pismo „Chaliastre” – później opowiem Panu jego historię. Z pomocą przychodzą pisarzom młodzi artyści plastycy, niektórzy z nich, jak Marc Chagall, mają już renomę w świecie sztuki współczesnej. To czas wyjątkowy, kiedy wszystko wydaje się możliwe. Ci młodzi ludzie na ławce w parku wierzą w jedno: w jydysz. I kto mógłby ich za to winić? Warszawskie kioski zavalone są żydowskimi tytułami, wydawnictwa gimnastykują się wprawdzie finansowo, ale tysiące książek jednak się ukazuje. To dlatego ci młodzieńcy, zrodzeni na czterech krańcach dwóch mocarstw, znaleźli się w tym właśnie mieście, które nie jest ani Berlinem, ani Paryżem, ani Londynem, ani Moskwą. A ton tej symfonii liter kwadratowych¹ nadaje się w kilku

1 >> Tak nazywa się hebrajskie litery drukowane, jakimi zapisuje się również teksty żydowskie [przyp. tłum.].